

Przemówienie Helmuta Schmidta, byłego kanclerza federalnego, podczas kongresu SPD w Berlinie, 4 grudnia 2011r. (obowiązuje słowo mówione)

Drodzy Przyjaciele, Szanowni Państwo!

Pragnę zacząć od uwagi osobistej. Kiedy Sigmar Gabriel, Frank-Walter Steinmeier i moja partia jeszcze raz poprosili mnie o wystąpienie, z przyjemnością przypomniałem sobie, jak 65 lat temu razem z Loki klęcząc na podłodze malowałem dla SPD plakaty-zaproszenia w Hamburgu-Neugraben. Muszę jednak przy okazji wyznać: jeśli chodzi o wszelką politykę partyjną, to ze względu na wiek znalazłem się już poza dobrem i złem. Już od dawna chodzi mi w pierwszej i drugiej kolejności o zadania i rolę naszego narodu w nieodzownych ramach struktury europejskiej.

Jednocześnie cieszę się z tego, że wolno mi dzielić tę mównicę z naszym norweskim sąsiadem Jensem Stoltenbergiem, który w dniach głębokiego nieszczęścia jego narodu dał nam i wszystkim Europejczykom wskazujący drogę przykład niezachwianego praworządnego, liberalnego i demokratycznego przywództwa.

Będąc już bardzo starym człowiekiem, myśli się oczywiście w długich okresach – zarówno cofając się do historii, jak i wybiegając naprzód ku będącej przedmiotem nadziei i dążeń przyszłości. Mimo to kilka dni temu nie potrafiłem dać jednoznacznej odpowiedzi na bardzo proste pytanie. Wolfgang Thierse spytał mnie: „Kiedy Niemcy staną się wreszcie normalnym krajem?” Ja zaś odpowiedziałem: w przewidywalnym czasie Niemcy nie będą „normalnym” krajem. Przeszkodą jest bowiem nasze potworne, ale jednorazowe obciążenie historyczne. Ponadto przeszkodą jest nasza aż nazbyt silna pod względem demograficznym i ekonomicznym centralna pozycja w sercu naszego bardzo małego, ale podzielonego na rozmaite państwa narodowe kontynentu.

Doprowadziło mnie to już jednak w całej pełni do złożonego tematu mojego wykładu: Niemcy w Europie, z Europą i dla Europy.

Motywy i początki integracji europejskiej

Choć w niektórych spośród około 40 państw narodowych Europy dzisiejsza świadomość narodowa rozwinęła się dopiero z opóźnieniem – tak było we Włoszech, w Grecji i w Niemczech – to jednak wszędzie i nieustannie toczyły się krwawe wojny. Tę europejską historię – z perspektywy Europy Środkowej – można uważać również za prawie niekończącą

się serię walk pomiędzy peryferiami i centrum oraz odwrotnie, pomiędzy centrum i peryferiami. Centrum nieustannie pozostawało przy tym decydującym polem bitwy.

Kiedy władcy, państwa lub narody w centrum Europy byli słabi względnie były słabe, to ich sąsiedzi z peryferii wdzierali się do słabego centrum. Do największych zniszczeń i relatywnie największych strat w ludziach doszło podczas pierwszej wojny trzydziestoletniej w latach 1618–1648, która rozegrała się głównie na ziemi niemieckiej. Niemcy były wtedy jedynie pojęciem geograficznym, nieostro definiowanym jedynie przez niemiecki obszar językowy. Później przyszli Francuzi pod wodzą Ludwika XIV i ponownie pod wodzą Napoleona. Szwedzi nie przyszli po raz drugi; wielokrotnie przyszli jednak Anglicy i Rosjanie, ostatni raz pod wodzą Stalina.

Kiedy jednak dynastie lub państwa w centrum Europy były silne – lub kiedy czuły się silne! – to z kolei one wdierały się na peryferia. Dotyczyło to już wypraw krzyżowych, które były zarazem podbojami, nie tylko w kierunku Azji Mniejszej i Jerozolimy, lecz również w kierunku Prus Wschodnich i wszystkich trzech dzisiejszych państw bałtyckich. W okresie nowożytnym dotyczyło to wojny z Napoleonem oraz trzech wojen Bismarcka w latach 1864, 1866, 1870/71.

To samo dotyczy przede wszystkim drugiej wojny trzydziestoletniej od 1914 do 1945 roku. Dotyczy zwłaszcza wojskowych pochodów Hitlera aż po Przylądek Północny, aż po Kaukaz, Krete, po południową Francję, a nawet aż po Tobruk w pobliżu granicy libijsko-egipskiej. Sprowokowana przez Niemcy katastrofa Europy była również katastrofą europejskich Żydów i katastrofą niemieckiego państwa narodowego.

Wcześniej jednak Polacy, Bałtowie, Czesi, Słowacy, Austriacy, Węgrzy, Słoweńcy i Chorwaci podzielili los Niemców, ponieważ oni wszyscy od wieków cierpieli z powodu ich centralnego pod względem geopolitycznym położenia na tym małym europejskim kontynencie. Albo innymi słowy: my, Niemcy, wielokrotnie sprawiliśmy, że inni cierpieli z powodu naszego centralnego, mocarstwowego położenia.

Sprzeczne roszczenia terytorialne, konflikty językowe i graniczne, które jeszcze w pierwszej połowie XX wieku odgrywały bardzo dużą rolę w świadomości ludzi, obecnie *de facto* w znacznej mierze straciły znaczenie, przynajmniej dla nas Niemców.

O ile w świadomości opinii publicznej i w opinii publikowanej wiedza i pamięć o średniowiecznych wojnach w znacznej mierze się zatarła, to pamięć o obu wojnach światowych XX wieku i o okupacji niemieckiej wciąż odgrywa jeszcze w ukryciu dominującą rolę.

Dla nas Niemców decydujące wydaje mi się to, że prawie wszyscy sąsiedzi Niemiec – a poza tym prawie wszyscy Żydzi na całym świecie – pamiętają holocaust i haniebne czyny, które wydarzyły się w okresie niemieckiej okupacji w krajach położonych na peryferiach. My Niemcy nie jesteśmy jeszcze wystarczająco świadomi tego, że wśród prawie wszystkich naszych sąsiadów jeszcze przez wiele pokoleń będzie istniała ukryta nieufność do Niemców.

Także urodzone później pokolenia Niemców muszą żyć z tym historycznym ciężarem. Obecny pokoleniom nie wolno zaś zapominać: to właśnie nieufność co do przyszłego rozwoju Niemiec dała w 1950 roku początek europejskiej integracji.

Churchill miał w 1946 roku dwa motywy, gdy w swym wielkim przemówieniu w Zurychu wezwał Francuzów do zgody z Niemcami i utworzenia razem z nimi Stanów Zjednoczonych Europy, a mianowicie po pierwsze wspólną obronę przed Związkiem Radzieckim, który wydawał się stanowić zagrożenie, po drugie zaś włączenie Niemiec do większego zachodniego związku państw. Churchill dalekowzrocznie przewidział bowiem odzyskanie sił przez Niemcy.

Kiedy w 1950 roku, cztery lata po przemówieniu Churchilla, Robert Schuman i Jean Monnet wystąpili z planem Schumana na rzecz połączenia zachodnioeuropejskiego przemysłu ciężkiego, to mieli ten sam motyw – motyw związania Niemiec z innymi krajami. Charles de Gaulle, który dziesięć lat później wyciągnął do Konrada Adenauera rękę w geście pojednania, kierował się tym samym motywem.

To wszystko stało się za sprawą realistycznego uświadomienia sobie uważanego za możliwe i będącego zarazem przedmiotem obaw przyszłego wzmocnienia się Niemiec. Nie idealizm Victora Hugo, który w 1849 roku wezwał do zjednoczenia Europy, ani żaden inny idealizm nie towarzyszył w latach 1950/52 początkowi europejskiej integracji, ograniczonej wtedy do Europy Zachodniej. Ówczesni czołowi mężowie stanu w Europie i Ameryce (wymienię George'a Marshalla, Eisenhowera, także Kennedy'ego, przede wszystkim jednak Churchilla, Jeana Monneta, Adenauera i de Gaulle'a, a również de Gasperiego i Henriego Spaaka) nie kierowali się bynajmniej europejskim idealizmem, lecz znajomością dotychczasowej europejskiej historii. Działali, kierując się realistyczną świadomością konieczności uniknięcia dalszej walki pomiędzy peryferiami a centrum, czyli Niemcami. Kto nie rozumiał tego pierwotnego motywu integracji europejskiej, który wciąż jest jej filarem, ten nie spełnia niezbywalnego warunku, umożliwiającego rozwiązanie obecnego, niezwykle trudnego kryzysu Europy.

Im bardziej w ciągu lat 60., 70. i 80. ówczesna Republika Federalna Niemiec zyskiwała na znaczeniu pod względem ekonomicznym, wojskowym i politycznym, tym bardziej w oczach

liderów państw zachodnioeuropejskim integracja europejska stawiała się zabezpieczeniem przeciwko ponownie wyobrażalnej możliwości, że Niemcy dadzą się uwieść idei mocarstwowości. Początkowy opór np. Margaret Thatcher czy Mitteranda lub Andreottiego w latach 1989/90 przeciwko zjednoczeniu obu powojennych państw niemieckich brał się jednoznacznie z obawy przed silnymi Niemcami w centrum tego małego europejskiego kontynentu.

Pozwolę sobie w tym miejscu na małą dygresję osobistą. Przysłuchiwałem się Jeanowi Monnetowi, kiedy uczestniczyłem w jego Komitecie „Pour les États-Unis d’Europe”. Było to w roku 1955. Dla mnie Jean Monnet pozostał jednym z najbardziej dalekowzrocznych Francuzów, jakich w życiu poznałem – w odniesieniu do integracji zresztą również ze względu na jego koncepcję stopniowej integracji Europy.

Od tego czasu, kierując się świadomością strategicznego interesu narodu niemieckiego, nie zaś idealizmem, stałem się i wciąż jestem zwolennikiem integracji europejskiej, zwolennikiem związania Niemiec z innymi krajami. (Było to wówczas przyczyną mojego sporu z moim bardzo przeze mnie cenionym przewodniczącym partii Kurtem Schumacherem, który dla niego był zupełnie nieistotny, dla mnie zaś – a miałem wtedy zaledwie trzydzieści lat i właśnie wróciłem z wojny – bardzo poważny.) Było to w latach 50. przyczyną poparcia przeze mnie planów ówczesnego polskiego ministra spraw zagranicznych Rapackiego. Następnie na początku lat 60. napisałem książkę przeciwko oficjalnej zachodniej strategii nuklearno-strategicznego odwetu, którym potężnemu wówczas Związkowi Radzieckiemu groziło NATO, do którego wtedy należeliśmy i nadal należymy.

Unia Europejska jest konieczna

De Gaulle i Pompidou kontynuowali w latach 60. i na początku lat 70. integrację europejską, aby związać Niemcy z innymi krajami – nie chcieli jednak wiązać na dobre i na złe z innymi krajami swojego własnego państwa. Następnie dobre zrozumienie pomiędzy Giscardem d’Estaing i mną doprowadziło do okresu współpracy francusko-niemieckiej i kontynuacji integracji europejskiej, a okres ten był po wiosnie 1990 roku z powodzeniem kontynuowany przez Mitteranda i Kohla. Jednocześnie od lat 1950/52 wspólnota europejska zwiększyła się stopniowo do 1991 roku z sześciu do dwunastu państw członkowskich.

Dzięki uutorowaniu drogi przez Jacques’a Delorsa (ówczesnego przewodniczącego Komisji Europejskiej) Mitterand i Kohl powołali w 1991 roku w Maastricht wspólną walutę – euro, która następnie w roku 2001, dziesięć lat później, stała się rzeczywistością. Przyczyną była ponownie francuska obawa przed nazbyt potężnymi Niemcami – dokładnie mówiąc: przed nazbyt potężną marką niemiecką.

Do tej chwili EURO stało się drugą najważniejszą walutą gospodarki światowej. Ta europejska waluta jest zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i w stosunku do innych walut na razie stabilniejsza niż dolar amerykański – i stabilniejsza niż marka niemiecka w ostatnich 10 latach swojego istnienia. Wszelka gadanina i pisanina o rzekomym „kryzysie euro” jest lekkomyślnym ględzeniem mediów, dziennikarzy i polityków.

Od czasu Maastricht w 1991/92 roku świat jednak ogromnie się zmienił. Przeżyliśmy wyzwolenie narodów na wschodzie Europy i implozję Związku Radzieckiego. Przeżywamy fenomenalny rozwój Chin, Indii, Brazylii i innych „krajów wschodzących”, określanych wcześniej ogólnie mianem „Trzeciego Świata”. Jednocześnie realne gospodarki narodowe przeważającej części świata „zglobalizowały się”, a mówiąc po prostu: prawie wszystkie państwa świata zależą od siebie nawzajem. Przede wszystkim zaś gracze na zglobalizowanych rynkach finansowych uzyskali niekiedy zupełnie niekontrolowaną władzę.

Zarazem jednak – i prawie niepostrzeżenie – liczba ludności świata gwałtownie wzrosła do 7 miliardów. Kiedy ja się urodziłem, wynosiła zaledwie 2 miliardy. Te wszystkie niesamowite zmiany wywierają ogromny wpływ na narody Europy, na ich państwa i na ich dobrobyt!

Z drugiej strony wszystkie narody europejskie nadmiernie się starzeją – i wszędzie kurczy się liczba ich obywateli. W połowie XXI wieku na Ziemi będzie jednocześnie żyć przypuszczalnie aż 9 miliardów ludzi, podczas gdy narody europejskie ogółem będą stanowiły już tylko 7 procent ludności świata. 7 procent z 9 miliardów! Aż do roku 1950 Europejczycy stanowili przez ponad dwa stulecia ponad 20 procent ludności świata. Ale od 50 lat nas, Europejczyków jest coraz mniej – nie tylko w liczbach absolutnych, lecz przede wszystkim w porównaniu z Azją, Afryką i Ameryką Łacińską. Kurczy się również udział Europejczyków w globalnym produkcie narodowym, czyli w wartości dodanej wytwarzanej przez całą ludzkość. Do roku 2050 zmniejszy się on do mniej więcej 10 procent, a w 1950 roku wynosił jeszcze 30 procent.

Każdy spośród narodów europejskich będzie w 2050 roku stanowił już tylko ułamek procenta ludności świata. To oznacza: jeśli chcemy mieć nadzieję, że my, Europejczycy, będziemy mieć znaczenie dla świata, to uda nam się to tylko wspólnie. Bowiem jako poszczególne państwa – czy to Francja, Włochy, Niemcy, czy Polska, Holandia czy Dania lub Grecja – możemy być na końcu liczeni już nie w procentach, lecz w promilach.

Z tego wynika długofalowy interes strategiczny europejskich państw narodowych, związany z ich integrującym związkiem. Ten interes strategiczny, związany z integracją europejską, będzie coraz bardziej zyskiwał na znaczeniu. Dotychczas narody w ogromnej mierze nie są go jeszcze świadome. Ich rządy też im go nie uświadamiają.

Jeśli jednak Unia Europejska w ciągu nadchodzących dziesięcioleci nie miałaby osiągnąć – choćby ograniczonej – wspólnej zdolności działania, to nie należy wykluczać zawinionej przez samych zainteresowanych marginalizacji poszczególnych państw europejskich i cywilizacji europejskiej. W takim wypadku nie można też wykluczyć tego, iż pomiędzy państwami Europy odżyją walki związane z konkurencją i prestiżem. W takim wypadku związanie Niemiec z innymi krajami być może przestałoby funkcjonować. Stara gra pomiędzy centrum i peryferiami znów mogłaby się stać rzeczywistością.

Proces ogólnosiwiatowego uświadamiania, rozpowszechniania się praw pojedynczego człowieka i jego godności, praworządnego ustroju i demokratyzacji nie otrzymałby z Europy już żadnych skutecznych impulsów. W tych aspektach wspólnota europejska staje się życiową koniecznością dla państw narodowych naszego starego kontynentu. Ta konieczność wykracza poza motywy Churchilla i de Gaulle'a. Wykracza ona jednak również poza motywy Monneta i motywy Adenauera. Jest ona dziś również szersza niż motywy Ernsta Reutera, Fritza Erlera, Willy'ego Brandta, a także Helmuta Kohla.

Pragnę dodać: oczywiście nadal chodzi tu o związanie Niemiec z innymi krajami. Dlatego my, Niemcy, musimy uzyskać jasność co do naszego własnego zadania, naszej własnej roli w ramach integracji europejskiej.

Niemcy potrzebują stałości i wiarygodności

Jeśli pod koniec roku 2011 patrzymy na Niemcy z zewnątrz oczami naszych dalszych i najbliższych sąsiadów, to od dziesięciu lat Niemcy wywołują dyskomfort – a od niedawna również polityczne obawy. W ostatnich latach pojawiły się znaczne wątpliwości co do stałości niemieckiej polityki. Zaufanie do wiarygodności niemieckiej polityki jest nadszarpnięte.

Te wątpliwości i obawy biorą się również z błędów naszych niemieckich polityków i rządów w dziedzinie polityki zagranicznej. Z drugiej strony biorą się one z zaskakującej dla świata siły ekonomicznej zjednoczonej Republiki Federalnej. Nasza gospodarka narodowa stała się – począwszy od lat 70., kiedy była jeszcze podzielona na dwie części – największa w Europie. Pod względem technologii, polityki finansowej i polityki społecznej jest ona dziś jedną z najwydajniejszych gospodarek świata. Nasza siła gospodarcza i nasz od dziesięcioleci generalnie bardzo stabilny pokój społeczny wzbudziły również zazdrość – zwłaszcza że nasza stopa bezrobocia, a także nasz wskaźnik zadłużenia uchodzą za zupełnie normalne w skali międzynarodowej.

W niewystarczającym stopniu jednak uświadamiamy sobie, że nasza gospodarka jest w wysokim stopniu zarówno zintegrowana ze wspólnym rynkiem europejskim, jak i

zglobalizowana, a przez to zależna od koniunktury światowej. Dlatego w przyszłym roku przekonamy się, że niemiecki eksport nie będzie już szczególnie rósł.

Jednocześnie powstała jednak groźna patologia, a mianowicie utrzymujące się ogromne nadwyżki naszego bilansu handlowego i bilansu obrotów bieżących. Nadwyżki stanowią od lat około 5 procent naszego produktu narodowego. Mają podobną wielkość jak nadwyżki Chin. Nie jesteśmy tego świadomi, ponieważ nie są to już nadwyżki w markach, lecz w euro. Jednak nasi politycy powinni być tego świadomi.

Wszystkie nasze nadwyżki to bowiem w rzeczywistości deficyty innych. Należności, które są nam winni, to ich długi. Chodzi tu o niedopuszczalne naruszenie „równowagi handlu zagranicznego“, które niegdyś podnieśliśmy do rangi ideału ustawowego. To naruszenie musi niepokoić naszych partnerów. I jeśli pojawiają się ostatnio zagraniczne, najczęściej amerykańskie głosy – obecnie słychać je już z wielu stron – żądające od Niemiec objęcia przewodniej roli w Europie, to wszystko razem budzi u naszych sąsiadów jednocześnie dodatkową nieufność. Budzi też złe wspomnienia.

Ten rozwój ekonomiczny i jednoczesny kryzys zdolności do działania organów Unii Europejskiej ponownie narzuciły Niemcom kluczową rolę. Wraz z prezydentem Francji pani kanclerz ochoczo ją zaakceptowała. Jednak w wielu europejskich stolicach, a także w mediach niektórych naszych państw sąsiedzkich znów pojawiły się rosnące obawy przed niemiecką dominacją. Tym razem nie chodzi o nazbyt silne militarne i politycznie mocarstwo centralne, z pewnością jednak o nazbyt silne ekonomicznie centrum!

W tym miejscu konieczna jest poważna, starannie wyważona przestroga dla niemieckich polityków, mediów i naszej opinii publicznej.

Jeśli my Niemcy dalibyśmy się uwieść pokusie, żeby, opierając się na naszej sile ekonomicznej rościć sobie pretensje do przewodniej roli politycznej w Europie lub przynajmniej do odgrywania roli *primus inter pares*, to coraz wyraźniejsza większość naszych sąsiadów by się przeciwko temu skutecznie broniła. Obawa peryferii przed zbyt silnym centrum szybko by powróciła. Prawdopodobne następstwa takiego rozwoju wydarzeń byłyby dla UE katastrofalne. Niemcy popadłyby zaś w izolację.

Bardzo duża i bardzo wydajna Republika Federalna Niemiec potrzebuje – także w celu ochrony przed nami samymi! – osadzenia w integracji europejskiej. Dlatego od czasów Helmuta Kohla, od 1992 r., artykuł 23 Ustawy Zasadniczej zobowiązuje nas do współdziałania „... w rozwijaniu Unii Europejskiej“. Art. 23 zobowiązuje nas w odniesieniu do tego

współdziałania także do „zasady pomocniczości...”. Obecny kryzys zdolności organów UE do działania nic w tych zasadach nie zmienia.

Nasze centralne położenie geopolityczne, a dodatkowo nasza nieszczęśliwa rola w przebiegu europejskiej historii do połowy XX wieku, plus nasza obecna wydajność gospodarcza – to wszystko razem wymaga od każdego niemieckiego rządu bardzo dużej umiejętności wczuwania się w interesy naszych partnerów z UE. Nasza gotowość do pomocy jest zaś niezbędna.

My Niemcy też przecież dokonaliśmy naszego wielkiego dzieła odbudowy w ciągu ostatnich sześciu dziesięcioleci nie sami i nie tylko własnymi siłami. Nie byłoby ono możliwe bez pomocy zachodnich zwycięskich mocarstw, bez naszego osadzenia we wspólnocie europejskiej i sojuszu atlantyckim, bez pomocy naszych sąsiadów, bez przełomu politycznego w Europie Środkowo-Wschodniej i bez końca dyktatury komunistycznej. My, Niemcy, mamy powód do wdzięczności. A zarazem mamy obowiązek, by okazać się godni zaznanej solidarności poprzez naszą własną solidarność z sąsiadami!

Natomiast dążenie do odgrywania własnej roli w polityce światowej, do zyskania w niej prestiżu, byłoby raczej niepotrzebne, a prawdopodobnie nawet szkodliwe. W każdym razie niezbędna pozostaje ścisła współpraca z Francją i Polską, z wszystkimi naszymi sąsiadami i partnerami w Europie.

W moim przekonaniu w kardynalnym, długofalowo-strategicznym interesie Niemiec leży to, by się nie izolować i nie pozwolić się izolować. Izolacja w łonie Zachodu byłaby niebezpieczna. Izolacja w łonie Unii Europejskiej lub strefy euro byłaby wysoce niebezpieczna. Dla mnie ten interes Niemiec ma znacznie wyższą rangę niż jakikolwiek taktyczny interes wszystkich partii politycznych.

Niemieccy politycy i niemieckie media mają psi obowiązek i powinność upartego reprezentowania tego poglądu na forum opinii publicznej.

Jeśli jednak ktoś daje do zrozumienia, że dziś w Europie mówi się i w przyszłości będzie się mówiło po niemiecku; jeśli niemiecki minister spraw zagranicznych uważa, że nadające się do telewizji występy w Trypolisie, Kairze czy Kabulu są ważniejsze niż kontakty polityczne z Lizboną, Madrytem, Warszawą czy Pragą, z Dublinem, Hagę, Kopenhagą czy Helsinkami; jeśli inny uważa, że musi zapobiec europejskiej „unii transferowej” – to jest to wszystko tylko szkodliwym popisywaniem się własną siłą.

Rzeczywiście Niemcy przez długie dziesięciolecia były płatnikiem netto! Potrafiliśmy do tego doprowadzić i robiliśmy to od czasów Adenauera. Grecja, Portugalia czy Irlandia były zaś zawsze oczywiście beneficjentami netto.

Tej solidarności niemiecka klasa polityczna być może nie jest dziś wystarczająco świadoma. Jednak dotychczas była ona oczywista. Równie oczywista – a ponadto od czasu Lizbony nakazana traktatowo – jest zasada pomocniczości: to, czego jakieś państwo nie potrafi samo uregulować albo rozwiązać, musi wziąć na siebie Unia Europejska.

Konrad Adenauer od czasu planu Schumana, kierując się dobrym politycznym instynktem i wbrew oporowi zarówno Kurta Schumachera, jak i później Ludwiga Erharda przystał na francuskie oferty. Adenauer – mimo trwającego podziału Niemiec! – właściwie ocenił długofalowo-strategiczny niemiecki interes. Wszyscy następcy – a więc także Brandt, Schmidt, Kohl i Schröder – kontynuowali politykę integracji Adenauera.

Wszelkiego rodzaju taktyka wynikająca z polityki bieżącej, wewnętrznej czy zagranicznej nigdy nie postawiła pod znakiem zapytania długofalowo-strategicznego interesu Niemców. Dlatego wszyscy nasi sąsiedzi i partnerzy mogli przez dziesiątki lat polegać na stałości niemieckiej polityki europejskiej – i to niezależnie od wszelkich zmian rządów. Ta ciągłość jest pożądana również w przyszłości.

Obecna sytuacja UE wymaga zdecydowanego działania

Niemiecki wkład koncepcyjny był zawsze czymś oczywistym. Tak powinno pozostać także w przyszłości. Nie powinniśmy jednak wybiegać w odległą przyszłość. Zmiany traktatu mogą i tak tylko częściowo skorygować fakty stworzone przed dwudziestu laty w Maastricht, zaniedbania i błędy. Obecne propozycje w sprawie zmiany obowiązującego Traktatu Lizbońskiego wydają mi się w najbliższej przyszłości mało przydatne, jeśli przypomnieć sobie dotychczasowe trudności z wielostronną ratyfikacją przez poszczególne kraje – lub zakończone negatywnie referenda.

Dlatego zgadzam się z włoskim prezydentem Napolitano, który pod koniec października zażądał w swym godnym uwagi przemówieniu, byśmy dziś skoncentrowali się na tym, co trzeba dziś koniecznie zrobić. I byśmy wykorzystali w tym celu możliwości, jakie daje nam obowiązujący traktat o UE – zwłaszcza w zakresie wzmocnienia reguł budżetowych i polityki ekonomicznej w strefie euro.

Obecny kryzys zdolności do działania utworzonych w Lizbonie organów Unii Europejskiej nie może trwać latami! Z wyjątkiem Europejskiego Banku Centralnego organy te – Parlament

Europejski, Rada Europejska, Komisja w Brukseli i rady ministrów – od czasu przewyciężenia ostrego kryzysu bankowego w 2008 roku, a zwłaszcza późniejszego kryzysu zadłużeniowego tylko w niewielkim stopniu zapewniły skuteczną dzisiaj pomoc.

Na przewyciężenie obecnego kryzysu przywództwa UE nie ma patentu. Potrzebnych będzie wiele kroków, wykonywanych częściowo jednocześnie, a częściowo jeden po drugim. Potrzebny będzie nie tylko rozsądek i zdecydowane działanie, lecz także cierpliwość! Niemiecki wkład koncepcyjny nie może się tu ograniczać tylko do haseł. Nie powinien być prezentowany na telewizyjnym jarmarku, lecz poufnie w ramach gremiów organów UE. Nam, Niemcom, nie wolno przy tym prezentować europejskim partnerom ani naszego ustroju gospodarczego, ani społecznego, ani federalnego, ani budżetowo-finansowego jako wzoru lub kryterium, lecz jedynie jako przykłady wśród wielu różnych możliwości.

Za to, co Niemcy dziś robią lub czego nie robią, ponosimy wszyscy razem odpowiedzialność dotyczącą przyszłych tego skutków w Europie. Potrzebujemy do tego europejskiego rozumu. Nie tylko rozumu jednak, lecz również współczującego serca dla naszych sąsiadów i partnerów.

W pewnym ważnym punkcie zgadzam się z Jürgenem Habermasem, który ostatnio mówił o tym, że – cytuję – „...teraz rzeczywiście po raz pierwszy w historii UE przeżywamy demontaż demokracji!!” (Koniec cytatu). Istotnie: nie tylko Rada Europejska łącznie ze swoim przewodniczącym, lecz także Komisja Europejska łącznie ze swoim przewodniczącym, do tego rozmaite rady ministrów i cała brukselska biurokracja wspólnie zepchnęły na bok zasadę demokratyczną! Kiedy wprowadziliśmy powszechne wybory do Parlamentu Europejskiego, uległem błędnemu przekonaniu, że Parlament sam zapewni sobie odpowiednią rangę. W rzeczywistości dotychczas nie wywarł wyraźniejszego wpływu na przewyciężanie kryzysu, bowiem jego naradom i rezolucjom brakuje jak dotąd oddziaływania publicznego.

Dlatego pragnę zaapelować do Martina Schulza: najwyższy czas, by Pan i Pańscy chrześcijańsko-demokratyczni, socjalistyczni, liberalni i zieloni koledzy razem, ale w zdecydowany sposób skupili na sobie publiczną uwagę. Prawdopodobnie do takiego powstania Parlamentu Europejskiego najlepiej nadaje się pole nadzoru nad bankami, giełdami i ich instrumentami finansowymi, który od czasu szczytu grupy G20 w roku 2008 znów okazał się zupełnie niewystarczający.

Rzeczywiście kilkadziesiąt tysięcy maklerów finansowych w USA i Europie, a prócz nich kilka agencji ratingowych, wzięło odpowiedzialnie politycznie rządy w Europie jako zakładników. Nie można raczej oczekiwać, że Barack Obama zrobi wiele, by to zmienić. To samo dotyczy

rządu brytyjskiego. Rządy całego świata rzeczywiście uratowały w roku 2008/2009 banki za pomocą gwarancji i pieniędzy podatników. Ale już od 2010 roku to stado niezwykle inteligentnych, a zarazem podatnych na psychozy menedżerów finansowych znów gra w swoją grę o zysk i prowizje. Jest to hazardowa gra kosztem wszystkich niegrających, którą Marion Dönhoff i ja krytykowaliśmy jako niebezpieczną dla życia już w latach 90.

Jeśli nikt inny nie chce działać, to muszą zadziałać kraje, które przyjęły euro. Droga może prowadzić przez artykuł 20 obowiązującego Traktatu Lizbońskiego. Przewidziano tam wyraźnie, że poszczególne państwa członkowskie UE lub ich większa liczba mogą „...ustanowić między sobą wzmocnioną współpracę”. W każdym razie państwa stosujące wspólną walutę – euro – powinny wspólnie wdrożyć radykalne regulacje swego wspólnego rynku finansowego. Od podziału na normalne banki komercyjne oraz banki inwestycyjne i pośredniczące po zakaz krótkiej sprzedaży papierów wartościowych, zakaz handlu instrumentami pochodnymi, o ile nie są dopuszczone przez oficjalny nadzór giełdowy – i po skuteczne ograniczenie dotyczących strefy euro interesów nie objętych nadzorem agencji ratingowych. Nie chcę Państwa męczyć dalszymi szczegółami.

Zglobalizowane lobby bankowe oczywiście znów broniłoby się przed tym rękami i nogami. Dotychczas przecież torpedowało wszelkie radykalne regulacje. Sobie samemu umożliwiło zaś to, że stado ich dealerów stawiało europejskie rządy pod ścianą, zmuszając je do wymyślania coraz to nowych „parasoli ratunkowych” – i rozszerzając je za pomocą „dźwigni”. Najwyższy czas, by zacząć się przed tym bronić. Jeśli Europejczycy wykażą się odwagą i siłą, potrzebną do radykalnego uregulowania rynku finansowego, to możemy w średniej perspektywie stać się strefą stabilności. Jeśli nie staniemy tu jednak na wysokości zadania, to znaczenie Europy będzie dalej spadać – a świat pójdzie w kierunku duumwiratu Waszyngton – Pekin.

W najbliższej przyszłości strefy euro konieczne pozostaną z pewnością wszystkie zapowiadane i planowane posunięcia. Należą do nich fundusze ratunkowe, wspólna polityka ekonomiczna i budżetowa, a do tego szereg podejmowanych w poszczególnych krajach reform w zakresie polityki podatkowej, polityki wydatków państwa, polityki społecznej i polityki rynku pracy. Nieuniknione będzie też jednak wspólne zadłużenie. Nam, Niemcom, nie wolno się na to z powodu narodowego egoizmu nie zgodzić.

Nie wolno nam też jednak bynajmniej propagować skrajnie deflacyjnej polityki dla całej Europy. Rację ma raczej Jacques Delors, domagając się, by wraz z naprawą budżetów wdrażać i finansować projekty promujące wzrost gospodarczy. Bez wzrostu, bez nowych miejsc pracy żadne państwo nie uzdrowi swojego budżetu. Kto sądzi, że Europa może wyzdrowieć jedynie dzięki oszczędnościom budżetowym, ten powinien z łaski swojej

przestudiować brzemienne w skutki oddziaływanie polityki deflacyjnej Heinricha Brüninga w latach 1930/32. Wywołała ona depresję i gigantyczne bezrobocie, powodując w ten sposób upadek pierwszej niemieckiej demokracji.

Do moich przyjaciół

Na zakończenie: drodzy przyjaciele! Właściwie socjaldemokratom raczej nie trzeba głosić kazań o solidarności międzynarodowej. Niemiecka socjaldemokracja ma bowiem od półtora wieku poglądy internacjonalistyczne – w znacznie większym stopniu niż pokolenia liberałów, konserwatystów czy niemieckich narodowców. My, socjaldemokraci, byliśmy zarazem wierni przekonaniu o wolności i godności każdego człowieka. Byliśmy zarazem wierni przedstawicielskiej, parlamentarnej demokracji. Te podstawowe wartości zobowiązują nas dziś do europejskiej solidarności.

Z pewnością także w XXI wieku Europa będzie się składać z państw narodowych, z których każde ma własny język i własną historię. Dlatego Europa z pewnością nie stanie się państwem federalnym. Ale Unia Europejska nie może też spaść do rangi zwykłego związku państw. Unia Europejska musi pozostać dynamicznie rozwijającą się strukturą. Nie ma ona precedensu w całej historii ludzkości. My, socjaldemokraci, musimy przyczynić się do stopniowego rozwoju tej struktury.

Im człowiek jest starszy, tym bardziej myśli w długich okresach. Także jako stary człowiek jestem wierny trzem podstawowym wartościom Programu Godesberskiego: wolności, sprawiedliwości, solidarności. Myślę przy tym zresztą, że dziś sprawiedliwość wymaga przede wszystkim równości szans dla dzieci, dla uczniów i dla młodych ludzi jako takich.

Kiedy patrzę wstecz na rok 1945 lub aż na rok 1933 – wtedy skończyłem właśnie 14 lat – to postęp, jaki do dziś osiągnęliśmy, wydaje mi się prawie niewiarygodny. Postęp, jaki osiągnęli dziś Europejczycy od czasu planu Marshalla z 1948 roku, planu Schumana z 1950 roku, jaki osiągnęliśmy dzięki Lechowi Wałęsie i Solidarności, dzięki Vaclavowi Havlowi i Karcie 77, jaki osiągnęliśmy dzięki owym Niemcom w Lipsku i Berlinie Wschodnim od czasu wielkiego przełomu z lat 1989/91.

Jeśli dziś przeważająca część Europy cieszy się prawami człowieka i pokojem, to nie mogliśmy sobie tego wyobrazić ani w 1918, ani w 1933, ani w 1945 roku. Pracujmy więc i walczmy o to, by historycznie niepowtarzalna Unia Europejska wyszła ze swej obecnej słabości stabilna i z poczuciem własnej wartości!